

Ян Хованец

Вродил ся 5 червця 1951р. в місцевости Тылич. Мама, Стефанія з Федорчаків была Лемкыньом, няньо Владислав, Поляком. Праві ціла родина зо стороны мамы выселена остала "на Захід". Коли мал штыри роки, вмерла му мама і виховувал ся в польській культурі і языку. Лемківску бесіду чул лем часом в старій колешни, де дідо (мамин няньо) робил колеса. Основну школу скінчыл в Тыличу а пак Будовляний Технікум в Новым Санчи. Потім, в часі войскової службы в Зеленій Горі, скінчыл підофіцерску школу. Од 1976 р. мешкат в Креници і робит в своїм фаху будовляня.

Писательска активніст Хованця зачала ся іщы в середній школі, продолжал ей в войску. Написал пару гуморесок, котры выставляны были на сцені. Потреба писаня нарастала з часом як конечніст высловліня, зрозумліня своей тожсамости. Хоц польскоязычны (бо лемківской бесіды не знал), творы Хованця стисло односят ся до лемківского світа на пограничу. В 1993 р. написал він новелю *Gorące lato, śmierć i winogrona*, опублікувану в цілости в 1994 р. (фрагментами была тлумачена на лемківській). В 1994 р. написал оповіданя *Kania Dorek*, а в 2002 р. басню *Dobra niania*. Тепер зачал працю над повістю про предвоєнну Креницю. Складніст розвиваных в творах проблемів, їх глибокій звязок з індивідуальном дольом автора, емоційне обтяжыня примусовым выкореніньом з лемківскости для вразливой особовости сут причыном психічных кризисів, котры доводили автора до нищыня рукописів. Прото невелика лем част творчости Хованця остала опублікувана.

Фрагменты твору друкуют ся за: J. Chowaniec, *Gorące lato, śmierć i winogrona*, Kraków 1994.

Gorące lato, śmierć i winogrona (Урывкы)

Kiedy III Rzesza połączyła się z Austrią i niebawem połączyła całe Czechy, opasując z trzech stron doborową armią Polskę, plując nań oskarżenia, żądając Gdańska i korytarza do Prus Wschodnich — chłop imieniem Wasyl, mieszkający na południowych krańcach Polski, na przełęczy górskiej wciśniętej klinem w Słowację, wyszedł w poranek sierpniowy na własne pole, by kosić dojrzewający owies.

Z gór schodziła mgła i osuwała się w dolinę, gdzie rozciągała się wioska przecięta trzema potokami. Na niewielkim wzgórzu stał kościół drewniany, kryty gontem. Poniżej gęsta zabudowa zamykała się w czworobok dawnego miasteczka, leżącego na prastarym szlaku handlowym wiodącym na południe. Drewniane domy ze spadzistymi dachami otwierały swe podcienie na dawny plac targowy. Poniżej, gdzie dwa potoki łączyły się w głębokim korycie porośniętym po brzegach wikliną i wierzbami, na niewielkim wzniesieniu stała cerkiew. Jej późnobarokowe wnętrza nakrywały namiotowe narastające dachy, zwieńczone cudnymi makówkami kopuł.

— A więc mieszkali tutaj Polacy i Łemkowie!

Tak mógł powiedzieć tylko ten, kto przybył z zewnątrz do tej wioski i dostrzegał różnice w architekturze świątyń tegoż samego Boga. Dla miejscowych różnicy nie było. Przez wielowiekowe współzycie tych grup wytworzyła się niejako wspólna gwara, która nie była mową polską ani też ruską. Żyli dobrze, szanowali się wzajemnie, ciężko pracując na kamienistych, mało wydajnych polach.

— Gdzie Bóg nie dał ziemi pod pszenicę — mawiali — dał lud hardy i pracowity!

Wasyl był Łemkiem. Nie... Wasyl nie był Łemkiem! Kim był Wasyl? Nie zastanawiał się nad tym. Ojciec jego, dziad, pradziad byli chrzczeni w cerkwi. Jego także ochrzczili w cerkwi i różnica polegała tylko na tym, że Wasyl obchodził Boże Narodzenie dwa tygodnie

później. Nie, nawet nie to! Wasyl obchodził „polskie” Boże Narodzenie u sąsiadów, oni zaś „ruskie” Boże Narodzenie u Wasyla. Nikt mu tego nie przypominał. Wiedział, że jest Wasylem i że kocha ten kraj, tę ziemię, na której przyszło mu żyć i pracować. Kochał tę ziemię tym bardziej, gdyż mógł po ojcu dziedziczyć dom, a także zabudowania gospodarcze, w których porykiwało aż pięć krów!

Przed rokiem poślubił urodliwą pannę imieniem Stefcia. Po zbiorach sprawił jej nowe odzienie, spódnicę z dobrego sukna, tybetową chustę, zaś sobie nowy kapelusz, białą koszulę i buty skórzane, solidne. W domu zawiesił dwa nowe obrazy z wizerunkami świętych. I był szczęśliwy... A jednak od czasu do czasu targał nim niepokój: będzie wojna! Wasyl był rezerwistą, starszym strzelcem i wiedział, że w każdej chwili mogą powołać go do wojska.

Przerwał koszenie, rękawem koszuli otarł spocone czoło i spojrzał ponad zboża ku dolinie, gdzie wśród niewielkiego sadu dzikich śliw stał jego dom. Z komina wydobywał się dym — żona gotowała obiad dla niego. Niebawem przyjdzie i spojrzy na niego tak ciepło. — Zmuczonyj ty — powie.

Wasyl lękał się wojny, lękał się tego, że najazd obcych wojsk może nie tylko zubożyć ich wszystkich, ale przede wszystkim wszystko zmieni... Wasyl bał się zmian. Przecież żyło się tak dobrze!

Z dzwonnicy kościelnej doleciał głos dzwonu na Anioł Pański. Wasyl odłożył kosę i z uszanowaniem, na klęcząco dziękował Bogu za zdrowie i dostatek... Podniósł się i nad falującym zbożem zobaczył idącą żonę. Gdy przyszła, zauważył, że była jakaś inna: bez uśmiechu, ze ściągniętymi brwiami rysującymi ból i zmartwienie.

— Szto tobi, Sztefcia? — spytał czule.

Nie odpowiedziała. Podeszła ku niemu i spojrzała na niego szklistymi oczami. Przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy, po czym zarzuciła mu ramiona na szyję i przyciągnęła mocno ku sobie. Drżała.

Wasyl zrozumiał, że ogłoszono mobilizację. Będzie wojna! Szkoda — pomyślał — a lato takie piękne! Ale jednocześnie bez najmniejszego sprzeciwu czuł wewnętrzną potrzebę, by bronić tego kraju, w którym były przecież cała jego radość i ubogie szczęście (...).

— Ech, żytja, żytja! — westchnął. — I po szto ta wojna!

Ogarnął go smutek i chciało mu się płakać, ale opanował się; wstał i splunął ze wzgardą na ziemię, że zachowuje się jak baba.

Jego ojciec przeżywał zapewne to samo, gdy go w czternastym roku wcielono do armii austriackiej. Przecież tak dobrze się żyło! — wspominał stary. Przez przełęcz przejeżdżały wozy kupieckie. Ruch był duży; ze Słowacją granicy nie było, a on jako dobry kołodziej miał roboty, że hej!

Ale to wszystko musiał zostawić i pójść na wojnę. Wojował dzielnie, nie był tchórzem; za odniesione rany otrzymał order i miał to na piśmie!

(...) Wolność jednak nie przynosiła dostatku...

Granice ze Słowacją zamknięto: handel i rzemiosło upadło, a zubożałe miasto przekształciło się w wieś.

Ojciec Wasyla, chcąc nie chcąc, wyjechał do Ameryki, ale i tam wielkiej fortuny nie zdobył, gdyż kryzys gospodarczy występował przez wiele lat i o pracę było bardzo ciężko. W roku trzydziestym czwartym powrócił i za ciężko uciulane pieniądze kupił cztery hektary pola, kawał lasu i dorabiając także jako kołodziej, wystawił dom i zabudowania gospodarcze. Z roku na rok żyło się lepiej. W Polsce też dało się odczuć ożywienie gospodarcze.

I gdyby nie nagła śmierć ojca przed dwoma laty, Wasyl nie miałby żadnych powodów do smutku...

Tylko ta wojna... Boże, po co ta wojna?

A więc wojna! (...)

Wasył wraz z plutonem doborowych strzelców osłaniał tyły wojsk, także grupę saperów, która po przejściu ostatnich formacji wysadzała mosty i ważniejsze przejścia, by opóźnić pościg wojsk nieprzyjaciela. Martwił się: dom pozostał w tyle, a on coraz dalej i dalej. I jak mogli bez większej walki oddać wrogowi jego rodzinne strony? Jak mogli! (...)

Wasył załadował amunicję i znać było, że jakieś wewnętrzne wzburzenie nie daje mu spokoju. Uchwycił broń i chyłkiem zbiegł ku potokowi, a następnie co sił w nogach zaczął biec w górę potoku, skąd drogą nadciągała przednia straż wojsk niemieckich. Słyszał za sobą nawoływania, których już w tej chwili nie rozumiał. Party wewnętrzną siłą biegł w kierunku swego domu, umiłowanej kobiety i wszystkiego tego, co kochał! W rozpaczę zdał sobie sprawę, że żyć bez tych wartości nie można, nie ma sensu. Więc zatrzyma Niemców! W biednym sercu zrodziła się taka siła, jakby cały wynik wojny zależał właśnie od niego, od Wasyła Galiszczaka!

Słyszał już wyraźnie warkot motorów. Zaroślami wdrapał się ku drodze. Po drugiej stronie zobaczył zabudowania gospodarcze i sad. Przed domem w południowym słońcu wylegiwały się kury, sennie, obojętne... „Boże — pomyślał—jakby nigdy nic!” (...)

Gdy byli niespełna dziesięć metrów przed nim, wyskoczył zza wierzby i plunął ogniem w kabinę samochodu. (...) Nastąpił wybuch: eksplozja rozerwała kabinę i w płomieniach wyrzuciła ciała ofiar razem z odłamkami szkła i kawałkami blach. Samochód zatoczył łuk i stoczył się do potoku, przygniatając zaskoczonych żołnierzy. Syk nagle schłodzonych części metalu mieszał się z jękiem rannych. (...)

Wasył stanął na krawędzi drogi i spoglądał na straszne dzieło zniszczenia, którego sam dokonał. W płytkiej wodzie ujrzał żołnierza leżącego na wznak, któremu burta samochodu przygniotła nogi. Cierpiał okropnie i półprzytomnymi oczami patrzył na Wasyła, jakby chciał coś powiedzieć....

(...) Wasył wzruszony przerażającym widokiem odezwał się jakby z żalem:

— Człowieku, po szto's tu pryichał?

Nieświadom niebezpieczeństwa postanowił zejść do rannego, gdy nagle z zarośli opodal samochodu rozległ się strzał i w tej samej chwili straszna siła rzuciła Wasyłem do tyłu, tak, że ten wypuścił karabin, wymachnął bezwładnie rękami i runął do przydrożnego rowu porośniętego pokrzywami i miętą.

(...)Wasyła znaleziono w rowie i po założeniu opatrunku załadowano do wojskowej sanitarki razem ze strzelcem rannym w potyczce przy moście. Oddział pośpiesznie się wycofał w kierunku Sanoka.

Bitwa wrześniowa dobiegła końca. Polska znalazła się pod okupacją dwóch jeszcze sprzymierzeńców: Niemiec i Związku Radzieckiego.

W październiku wrócił do domu Wasył, blady, wychudły, z zapadniętymi policzkami i jeszcze nie wygojoną raną. Kaszłał. Stefcia robiła, co mogła, aby przywrócić do zdrowia wynędzniałego męża (...).

Minęły dwa lata. Aczkolwiek rana się Wasyłowi wygoiła, to jednak nie powrócił do dawnego zdrowia. Był jakiś ponury, przygnębiony i zapewne bardziej chora była jego dusza niż ciało. Wchodząc do domu nie mógł patrzeć na portret swego ojca, wiszący na ścianie w dużym pokoju, gdzie spali. Dziarski staruszek spoglądał na niego jakby z drwiną i mówił:

— Smotr, Wasył, ta ja dwi szramy na udi od bahnetu w pjatnastim roku. Alem Moskala w naszy storony ne pustyl. My byly sia micno za dobroho cysarja!

Wasył spuszczał głowę. My ne малы szans — myślał. — Nas w kliszczy wzialy dwi najvekszy armii Europy. I nycto z pomoczom ne pryszol...

W tym czasie armia niemiecka święciła największe tryumfy: prawie cała zachodnia Europa była w jej rękach, na wschodzie pancerne jednostki były pod Moskwą. W krajach

okupowanych wzmagał się terror, ale zarazem próbowano pozyskać żołnierza dla wciąż nienasyconej żądzą podboju armii.

Było to na początku jesieni czterdziestego pierwszego roku. Wasyla wezwano na posterunek niemiecki z zamiarem nakłonienia go do podpisania volkslisty. Za biurkiem, pod portretem Adolfa Hitlera, siedziało dwóch wojskowych. Jeden mówił po niemiecku, a drugi zwracał się do Wasyla, mówiąc czystą polszczyzną:

— Słuchajcie, Galiszczak. Wiemy, że służyliście w wojsku polskim. Pał sześć! Wielu musiało służyć. Niemcy, jak wiecie, budują nowy ład w świecie, ale przede wszystkim walczą z komunistyczną zarazą. (...) A że dobrego żołnierza nigdy za dużo, myślę, że sami chcielibyście wstąpić do wojska. Możecie wybrać: albo wstąpicie do jednostki niemieckiej, albo do tworzonego batalionu ukraińskiego. Przecież jesteście Ukraińcem!

Galiszczak spuścił głowę i spod czupryny, która mu spadała na oczy, spoglądał nieufnie i jakby ze wzgardą na mówiącego.

Długie milczenie zirytowało wojskowego.

— Przecież jesteście Ukraińcem! — wrzasnął. — Dlaczego nic nie mówicie?

— Nie jestem Ukraińcem — odpowiedział spokojnie.

— Jesteście Słowakiem?

— Nie jestem.

— Zatem jesteście Polakiem?

— Nie.

— Więc kim do licha jesteście?!

Wasył miętosił czapkę w rękach i znać było, że miał coś ważnego do powiedzenia, ale się bał... Nie, przełamała się, podniósł głowę i rzucił słowa wyraźnie, jakby z dumą:

— Jestem mieszkańcem tej ziemi, którąście najechali. — A po chwili wahania dodał: — Albo zdradzili.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę z grozy, jaka zawisła nad nim z powodu wypowiedzianych słów. Lecz lęk wyraźnie mieszał się z zadowoleniem, że powiedział prawdę, wprost, co myślał. Twarz jego wykrzywiła się w dziwnym półuśmiechu.

Wojskowy zaniemówił, ale gdy znaczenie słów przetłumaczył oficerowi niemieckiemu, poczerwieniał ze złości i bił wściekły pięścią w stół.

— A to bydlę przekłete — mówił, śliniąc się ze złości. — A to bydlę!

— Polisz szwajne!

— Nie. To Ruś szwajne!

Podszedł do Wasyla i splunął mu prosto w twarz.

— Ty skurwysynu! — wycedził z nienawiścią. — I co, świnio jedna, kim jesteś?

Wasył milczał. Ale to milczenie doprowadziło do szału volksdojczę. — No, kim jesteś? — ryczał ze złością.

— Jestem Wasył Galiszczak, mieszkaniec tej ziemi...

Ale nie dokończył. Wojskowy złapał go za gardło i wbijał obydwoma kciukami w krtań Wasyla, który począł się krztusić, aż w końcu odepchnął ręce oprawcy. Ta czynność rozwścieczyła Niemca, który dotychczas przyglądał się całej scenie z nieukrywaną ciekawością. Na jego rozkaz do pokoju wbiegło dwóch uzbrojonych żołnierzy, którzy zasalutowali, odłożyli broń i uchwycili pod pachy Wasyla.

Zadający pytania podszedł do niego i straszliwym prawym sierpowym uderzył go w szczękę. Coś chrupnęło, a z kącików ust wypłynęła krew.

— Ty skurwysynu! — powiedział i uniósł pięść na wysokość swojego oka, a następnie całym impetem mięśni i złości wymierzył cios w oko Wasyla, znowu coś powiedział i wymierzył cios, powiedział i znowu uderzył... Najwyraźniej miotanie przekleństw, a po nich wymierzanie bolesnych razów, wprawiało go w jakieś bydlęce podniecenie. Nie, zachowywał się tak, jak tylko może zachowywać się człowiek wyzutych z wszelkich uczuć, rozjuszony

gniewem i nienawiścią. Zadawał ciosy coraz częstsze i częstsze. Twarz Wasyla zamieniła się w krwawe i sine place, z ust wyleciały dwa zdrowe zęby. Po którymś razie Wasyl zemdlął i wysunął się bezwładnie z rąk tych, którzy go trzymali. Leżącego poczęstowano kopniakami. Przyniesiono wodę i chluśnięto w twarz. Wasyl po niedługim czasie oprzytomniał i z trudem wstawał z zakrwawionej podłogi.

Słaniając się na nogach, kaszlał coraz gwałtowniej i gwałtowniej, jakby za moment wraz z kaszlem miało wylecieć chore praco. Zakrztusił się i z krtani wydobył się charkot i jakieś suche tarcie jak w silniku, który nie może zapalić. Po chwili odkrztusił się i w ustach rozlała się i zastygła krew. Wasyl wstał, wytarł krew rękawem i zgiął się po czapkę, leżącą opodal.

— To gruźlik — skrzywił się pogardliwie ten, który zadawał pytania.

— Raus! — wrzasnął oficer.

Otworzono drzwi i dźgając Wasyla w plecy kolbą karabinu wypchnięto go na zewnątrz budynku.

Padła deszcz, na drodze potworzyły się błotniste kałuże, a z drzew spadały pierwsze liście. Wasyl nie widział na jedno oko, gdyż opuchlizna zamknęła źrenicę, tworząc w miejscu oka krwawy, granatowy obrzęk. Drugim okiem widział obraz zamazany, trzęsący się. Chciał zrobić krok, ale poczuł ogromny ból w prawym boku; dotknął ręką żebra, a żebro wpadło gdzieś głębiej, głębiej...

Gdy oprzytomniał, zobaczył nad sobą volksdojca. Był zmieszany i znać było, jakby chciał się ulitować nad swoją ofiarą.

— Oj, Galiszczak, Galiszczak — powiedział. — Jaki ty głupi!

Ale wtenczas otworzyły się drzwi i na progu stanął oficer niemiecki. Przez chwilę przyglądał się leżącemu, to znowu kątem oka spoglądał na swojego tłumacza. Odgadł jego myśli. Poklepał go po ramieniu i rzekł z pogardą:

— Polisz szwajne!

Wszelkie ludzkie uczucie uleciało. Tłumacz znowu czuł się pewnie i bezkarnie. Jako żołnierz zwycięskiej armii miał obowiązek zabijać i mordować dla utrzymania porządku i budowania nowego ładu.

— Das is Russ szwajne — odpowiedział.

— Jawohl! — odrzekł oficer i obydwaj wybuchnęli gromkim śmiechem.

Wasyl, pomagając sobie rękami, wstał z ziemi i trzymając się za bok szedł chwiejnie w kierunku drogi. Tam zabrakło mu sił, więc usiadł pod wierzbą, opierając się o mokry pień. Krople deszczu spływały mu po twarzy, zmywały krew i przynosiły ulgę, chłodząc stłuczone miejsca. Dyszał ciężko...

Od strony lasu nadjeżdżał wóz ciągnięty przez gniadego konia. Dwóch mężczyzn siedziało na wozie. (...) I wtenczas zobaczył skrwawionego mężczyznę pod drzewem. Przerażony szturchnął siedzącego obok. Drugi mężczyzna wstał i podszedł bliżej, jakby się bał, czy to nie upiór.

— Ne bij sia — powiedział słabym głosem Wasyl — to ja, Galiszczak. Wasyl Galiszczak.

Furman rzucił lejce i pobiegł pod wierzbę.

— Chryste Panie! — krzyknął. — Kto cię tak pobił?

— A, tam, na posterunku. Nie podpisałem volkslisty...

— A niech ich szlag... Wasyl, ale ja cię tak do Stefci nie zawiozę, bo biednej kobiecie ze strachu serce pęknie!

Wzięli Wasyla pod ręce i poprowadzili na furmankę.

— Aj, uważajcie — syknął z bólu — żebro mi złamali...

Stefański, bo tak nazywał się furman, zawiózł Wasyla do swego domu. Tam jego żona, płacząc, obmyła Wasyla z krwi i przebrała w ubranie męża. Bok przewiązali mu

podartym w pasy prześcieradłem. Nakarmili rosołem z kury. Ziemniaków nie jadł, gdyż bolała go szczęka.

Pod wieczór Stefański powiadomił Stefcie o całym zajściu (...).

— Tedy się nie martwcie — zakończył. — Żebro się zagoi. Po miesiącu śladu nie będzie. A w wykopkach pomożemy wam, żebyście sami nie zostali. Bo Wasyl do zimy za pług nie chwyci...

Istotnie. Nikt nie dał polecenia, nic nie ogłaszano, a mieszkańcy wsi przyjęli jako swój obowiązek, że Wasylowej trzeba pomóc! Wykopano jej ziemniaki, zebrano koniczynę z pola, a nawet oziminę zasiano. (...) Odważna postawa Wasyla, okupiona brutalnym pobiciem, nie było daremna: Niemcy zaniechali wzywania Łemków na posterunek z zamiarem pozyskiwania ich dla siebie. Mieszkańcy wsi byli mu za to bardzo wdzięczni. Łemkowie i Polacy nie dali się podzielić.

(...) Latem było lżej, już nowe ziemniaki można było udłubać, krowy dawały więcej mleka, a i las począł ich żywić. Stefcia, gdy pracy było mniej, zbierała poziomki, w lipcu jagody, a na przełomie lipca-sierpnia — maliny. Grzyby w tym roku też obrodziły, toteż zbierała je i suszyła. Boże, gdyby nie było wojny, pobiegłaby do miasta i sprzedała u Żyda. Miałaby pieniądze i kupiłaby Wasylowi lekarstwo, aby tak nie kaszła!

Nie było już Żydów; okna wystawowe zabito deskami, szyldy zerwano, mieszkania splądrowano, a ich właścicieli wywieziono gdzieś hen i Bóg raczy wiedzieć, czy jeszcze żyją...

Ale wojna się kiedyś skończy — pomyślała. Tym bardziej, że przeciekały wiadomości z frontu na wschodzie o malejącym impecie wojsk niemieckich. A ruscy nie tylko zatrzymali ich, ale dają im się coraz więcej we znaki!

W sierpniu Stefcia urodziła syna. Wasyl szalał ze szczęścia. Skakał, przytupywał nogą, nucąc ludowe melodie i co rusz cmokał to Stefcie, to dziecię małe ułożone w kołysce. Nabrał nowych sił i ochoty do życia, pewności siebie — miał syna!

W pierwszą niedzielę września ochrzczono małego w cerkwi i nadano mu imię Piotr, co zdrobniale z łemkowska brzmiało — Petruś. Po mszy Wasyl wyprawił skromne, ale jakże radosne przyjęcie. (...)

W czterdziestym czwartym roku Niemcy zagnali miejscową ludność do kopania okopów i rowów przeciwczołgowych. Każdy szedł z niechęcią, ale musiał.(...)

Czuło się, że z Niemcami wnet będzie koniec (...)

Czasami w nocy do okna zapukali partyzanci z AK, prosząc o strawę. Innym razem rosyjscy spadochroniarze także domagali się poczęstunku i ciepłego odzienia. Wychodząc z izby, jakby w nagrodę mówili, że nadejdą lepsze czasy, bez burżujów i wyzysku. Wasyl lękał się tych przepowiedni. Nie chciał zmian. Chciał żyć tak, jak żyło się przed wojną.

W styczniu czterdziestego piątego roku Rosjanie ruszyli całym impetem! Zaskakując Niemców, przełamali linie oporu i parli na zachód. Wasyl z zadowoleniem przyglądał się, jak niegdyś butna armia uchodziła w popłochu, porzucając niekiedy sprzęt i uzbrojenie. Dwie krowy i konia ukrył w lesie, gdyż bydlę z pewnością trafiłoby do kotła na strawę dla głodniałych żołnierzy.

(...) Nadleciały dwa myśliwce z czerwoną gwiazdą na bokach, zniżyły lot i ogniem karabinów maszynowych ostrzelały zaskoczoną kompanię; na drodze zakotłowało się od ruchu, wybuchów uszkodzonych pojazdów i żołnierzy oszalałych ze strachu, próbujących stworzyć obronę przed nieprzyjacielem, który jak jastrząb wyłonił się nagle zza wzgórze, siejąc spustoszenie i śmierć. Myśliwce zatoczyły jeszcze jeden łuk, wbiły się w powietrze i odleciały.

Wasyl przykucnął pod gałęziami świerka i ze zbocza z niewielkiej odległości obserwował to wydarzenie z ogromnym zadowoleniem.

Dobrze — pomyślał — za moją ranę, za złamane żebro, za obitą twarz, za lata biedy i głodu! Dobrze!

Na drodze dopalały się samochody trafione pociskami. Rannych i zabitych załadowano na ocalałą ciężarówkę. Zrobiono pośpiesznie zbiórkę; policzono zabitych i rannych, sporządzono raport i szykowano się do odjazdu.

(...) W dwa dni po Niemcach nadciągnęli Sowieci: ruchliwi, gadatliwi, szukający wszędzie Germańca. Wasyl przyjął ich gościnnie, nakarmił, a nawet poczęstował samogonem. Nie podobało mu się jednak, że byli zarozumiali, pewni siebie. Wyczuwało się, jakby byli nowymi władcami rzeczywistości i jakby już mieli dyktować, co i jak ma być ustanowione. A gdy mówili mu o nowym porządku, o sprawiedliwości i dobrobycie, jaki osiągną, budując komunizm, gdzie i on, Wasyl z rodziną, przenieść się powinien, ogarnęła go złość i omal nie rzucił patelnią o podłogę... Ale wstrzymał się. Miał tylko pragnienie, aby zjedli i wynieśli się jak najszybciej.

Rano wstali, umyli się w zimnej wodzie, zjedli tuszonkę na jajkach, które przynieśli z kurnika i, nawet nie dziękując, wyszli na podwórze. Ze stajni wyprowadzili konia i zaprzęgnęli do wozu. Wasyl przerażony próbował protestować... Jeden z żołdatów przyłożył mu pistolet do skroni i dał do zrozumienia, że protest może się tylko źle skończyć.

Nadeszła wiosna, a z nią jeszcze większa bieda; resztkę ziemniaków należało zasadzić, by pod jesień nie przymierać głodem. Jedli tylko zacierkę z mlekiem, raz w tygodniu ziemniaki ukraszone sadłem. Kury coś słabo się nosły, nie dostawały ziarna, a krowy były cielne i mleka dawały coraz mniej. Natomiast pracować trzeba było nad siły. Konia nie było, pożyczyć też nie było gdzie, gdyż pociągowe zwierzęta, jak nie zabrała uchodząca armia, to zwycięska rekwirowała bez skrupułów, uważając to niemal za swój obowiązek.

Do licha, cóż w czasie wojny znaczyło życie ludzkie? Nic. Ważny był cel i wola zwycięstwa! I nowy ład niesiony w fanatycznie zarażonych głowach żołnierzy.

Wasyl zrył łopatą zagon pod ziemniaki, a Stefcia motyką rozdrobiła ziemię, tworząc grzędy; wsadzała w nie bulwy. Z niepokojem spoglądała na męża, który z dnia na dzień był słabszy, bledszy i mizerniejszy. Kaszlał. Coraz częściej dławił się i spluwał krwią.

Pod wieczór wracali do domu. Wasyl jeść nie chciał, tylko położył się na łóżko i dyszał ciężko. Przyniosła mu ciepłe mleko i karmiła jak niemowlę. Patrzyła stroskana i wycierała zimny pot z czoła męża. Wasyl umrze... — myślała. — Boże, Wasyl nie umrze! Wasyl nie może umrzeć!

Spojrzeni przez okno i zobaczyli, jak przez podwórze idzie do nich rosyjski żołnierz, aby po raz kolejny namawiać, by wyjechali do kraju szczęśliwości, jakim miał być Związek Radziecki.

Wasyl zerwał się z pośłania i uchwycił żonę za rękę.

— Prysiahnyj — nalegał błagalnie — prysiahnyj, że nykoly ne wyichasz, choćby po moji smerty. Tu my rodżeny i tu nasza zemla!

— Prysiam — odpowiedziała stanowczo.

Pzetrzymali przednówek, nadeszło lato. I chociaż wydawało się, że z Wasylem jest już całkiem źle, chłop w lecie nabrał nowych sił, cera stała się bardziej śniada, opalona od słońca. Mniej kaszlał. Niektórzy mówili, że z Wasyla wyszły suchoty. (...)

Któregoś dnia Wasyl kosił koniczynę i bardzo się spocił. Nadciągnęła burza z piorunami i przemoczyła Wasyla do suchej nitki. Do domu wrócił w gorączce. W nocy majaczył, rano z trudem rozpoznawał żonę. Stefcia załamywała ręce. Robiła zimne okłady, wargi zwilżała herbatą z lipy, nacierała go, modliła się do Boga... Nic nie pomogło. Pobiegła po Augustyńską, która знаła się na chorobach i niejednemu pomogła. Postawiły bańki. Chory pocił się, oddychał ciężko, jakby mu na piersi złożono ciężki kamień. Widząc, że nie ma

poprawy, posłano po księdza, który niebawem przyszedł, namaścił chorego olejkami świętymi i zapaloną świecę włożył w skostniałe dłonie.

Około drugiej po południu Wasyl zmarł.

(...) Minęły dwie zimy. Stefcia, chociaż urody jej nie brakowało i chłop przydałby się w domu, nie wyszła ponownie za mąż. Pole obrabiała z pomocą sąsiadów, a pod wieczór zabierała małego Piotrusia ze sobą i szła do Wasyla, który spoczywał pod starannie uformowaną mogiłą opodal starej lipy. Rozmawiała z nim i zwierzała się, jakby rozmawiała z żywym. Po takich rozmowach lżej było jej na sercu, a mały Piotruś z blond czupryną, zadartym noskiem i pogodnym spojrzeniem upodabniał się do Wasyla, napawając stroskaną kobietę otuchą. Patrząc na niego przytułała do siebie i głaszcząc po czuprynie mówiła z dumą:
— Bude gazda jak joho otec!

Stało się jednak inaczej. (...)

Piątego maja Stefcia wstała wcześniej. Ucałowała małego i ubierała się do stajni, aby wydoić krowę. Wyszła na podwórze: wiał lekki południowy wiatr, a słońce wydobywało się zza wzgórze i rzucało pierwsze promienie. Było ciepło i przyjemnie. Trawa ożywiona wiosennymi deszczami była soczysta, zielona, skropiona rosą i ukwiecona mleczem. Śliwy puszczały listki... Chciało się żyć!

Otwierała drzwi stajni, gdy usłyszała warkot pojazdów jadących drogą od Nowego Sącza; gdy przyjrzała się dokładniej, zauważyła ciężarówki wyładowane wojskiem.

— Boże! — powiedziała z przerażeniem — ta czoho chcet od nas?

Wróciła do domu i przytułała się do śpiącego Piotrusia. Była załamana i bezsilna. Pozostało tylko czekać na to, co stać się miało.

Wojsko otoczyło wioskę i strzelając w powietrze wzywało do zbiórki wszystkich mieszkańców przy szkole. Wszczął się lament... Uderzono w dzwony... Dzieci czepiały się matczynych spódnic i oczkami pełnymi strachu spoglądały z przerażeniem na wojskowych; kobiety załamywały ręce; mężczyźni, jak przystało na chłopów, schodzili się w gromady i aby dodać sobie otuchy częstowali się papierosami. Przed żonami ukrywali bezsilność i strach.

Przed tłumem zebranych stanął wojskowy w randze kapitana i ogłosił rozkaz, na mocy którego wycytani z listy mają dwie godziny na spakowanie dobytku i przygotowanie się do przesiedlenia. Dalej czytał motywy, na których podstawie rząd polski jest zmuszony do podjęcia takich a nie innych działań.

— Kto chce, może też wyjechać do Związku Radzieckiego — zakończył.

Spojrzał po zebranych. Trwało milczenie.

Starsza kobieta, owinięta w koc zarzucony na ramiona i spięty na piersi, podeszła do oficera i klękając przed nim poczęła błagać, aby ich zostawiono, gdyż są niewinni i nikomu nic złego nie uczynili! Tu się urodzili i tu jest ich kraj!

— Dyskusje niepotrzebne — zniecierpliwił się oficer. — Sołtys, czytajcie listę!

Czyż trzeba było czytać? Każdy wiedział, że będąc ochrzczony w cerkwi i mówiąc po łemkowsku, jest na liście. Przyjmowali ten wyrok w bólu i upokorzeniu. Zdawali sobie sprawę, że świat, który znali, kończy się. Nastął czas nietolerancji i pogardy. Tyle stuleci żyli razem z Polakami, kultywowali tradycje, obyczaje i wiarę ojców swoich i nie zdawali sobie sprawy, że przyjdą czasy, gdy będą prześladowani tylko dlatego, że pozostali sobą.

Rozdzielono ich, Polaków na prawo, a Łemków na lewo. Spoglądali na siebie, jakby chcieli dostrzec różnicę, która stała się przyczyną ich podziału (...).

Cidyłko, stary chłop stojący nieco na uboczu, miętosił czapkę w rękach i mruczał coś pod nosem, najwyraźniej uniesiony gniewem, spowodowanym zaistniałą sytuacją.

— Ja nygde ne pidu! — odezwał się do oficera. — Nygde ne pidu! To moja zemla!

Oficer podszedł z założonymi w tył rękami i stojąc przed nim wpatrywał się z drwiną w oczy Cidyłki. Potem gwizdnął przez zęby, zgasił na twarzy szyderczy uśmiezek i powiedział już całkiem poważnie:

— Ho, ho! Jaki kozak! Stary chłop, a głupi jak cap. Wasze nazwisko?

— Cidyłko.

— Macie pół godziny na spakowanie dobytku i zameldowanie się osobiście u mnie!

— Nygde ne pidu... — próbował się buntować, ale upór pryskał, a w słowach wyczuło się bezsilność i rozpacz.

— Rozkaz, panie Cidyłko!

Chłop odszedł, zwiesiwszy głowę. Reszta zgromadzonych odprowadziła go wzrokiem w apatycznym bezruchu. Nikt się nie ruszał, nie mówił, nie protestował. (...) Oficer obrzucił ich gniewnym spojrzeniem.

— Głupie ludzie! — krzyknął. — Przewozimy was na ziemie odzyskane. Tam ziemia żyzna i domy murowane po Niemcach. Czeka was lepsze życie! No, rozchodźcie się, czas nagli!

Rozchodzili się do swoich domostw i czuli się tak, jak może się czuć kosodrzewina, którą brutalnie wrywa się spod turni Tatr i przesadza na urodzajną ziemię bezkresnej doliny.

O co chodzi, kosodrzewino, czy nie czeka cię lepsze życie?

Raptem zauważono dym wydobywający się spod strzechy chałupy Cidyłki. Kilku żołnierzy doskoczyło do drzwi i z łoskotem tłukło kolbami.

— Puszcząć! — krzyczeli. — Puszcząć!

Nikt nie puszczał; żołnierze wybili okno i wskoczyli do środka, i już w kłębach dymu, który wypełnił izbę, zobaczyli chłopą stojącego pośrodku. Chwycili go za ręce i podciągnęli do okna, i jak worek ziemniaków wyrzucili na zewnątrz. Płomienie lizały już suche gonty pokrycia dachu, przedostawały się do siana i w straszliwym żywole, syku i trzasku rozrywanych połaci dachu wydobywały się z wnętrza budynku. Buchając w niebo, niosły na ogromnych jęzorach ognia cały dobytek życia Antoniego Cidyłki.

— Coś, przeklęty, zrobił?! — wrzeszczał oficer.

Chłop zakręcił się niespokojnie i odpowiedział z rezygnacją:

— Spalił jem co było moje. Siebie też chciał jem spalić...

— Poruczniku — zwrócił się do oficera w cywilnym ubraniu — zakuć w kajdany tego chłopą, odesłać do Jaworzna. Tam go pokorności nauczą! Pisarz! Sporządzić raport o zaistniałej sytuacji. Kapral Mirecki!

— Jestem!

— Dopilnować ze swoją drużyną, aby ogień z budynku nie przedostał się na zabudowania gospodarcze. W tym celu rozerwać płot i polewać wodą dach obory.

Zakręcił się nerwowo i spojrzał na zegarek.

— Cholera, pół godziny straty. Ludzie! — krzyknął — macie jeszcze półtorej godziny na spakowanie swojego dobytku.

W czasie, kiedy staruszka wpychano do wojskowego gazika, zakutego w kajdany, przerażonego, pisarz gryzmolił raport. Pisał, że „podczas akcji przesiedleńczej w miejscowości N. część ludności narodowości ukraińskiej wszczęła bunt. Doszło do podpalenia zabudowań. Przywódcę rozruchów, obywatela Antoniego Cidyłkę pojmano i odsyła się go do obozu karnego w Jaworznie...”. Jednocześnie począł kojarzyć sobie wysiedlenie Łemków z wysiedleniem Polaków z Zamojszczyzny, ich opór i krwawe walki z Niemcami. Coś nim targnęło i ze współczuciem spojrzał na starca wetkniętego w głąb gazika. Przez moment zamajaczyły postacie kolegów z odciętymi głowami w Bieszczadach i nie wiedział czy współczuć, czy nienawidzić... Fakty, wydarzenia mieszały mu się w pamięci i nie mógł dostrzec logicznego uzasadnienia, sensu tego, co przyszło mu wykonywać. Bił się z

myślami i nie potrafił zakończyć raportu jakimś wzniosłym akcentem o ofiarności i patriotyzmie żołnierza polskiego.

Raportu nie dokończył, pierwszy raz w życiu było mu niedobrze od myślenia...

Stefcia załadowała na samochód krowę, którą oznakowano, i w cztery duże tobołki spakowała cały dobytek. Piotruś dreptał przy mamie i nie rozumiał co tu się dzieje.

Nie opodal spotkali ciotkę, siostrę Stefci, siedzącą na tobołkach. Płacząc trzymała ręką obolałą głowę. Stefcia, blada, z posiniałymi ustami, poprosiła o przypilnowanie malca w czasie, gdy sama pójdzie pożegnać Wasyla...

W tym czasie podjechał jeszcze jeden samochód, na który wsiadali przesiedleńcy z rzeczami niezbędnymi w czasie podróży. Ciotka załadowała tobołki, a następnie z malcem na rękach wspięła się po drabince i usiadła na ławce przy samej burcie samochodu. Czekali... Starszy sierżant podszedł do samochodu i przeczytał listę tych, którzy mieli jechać pod jego kuratelą.

— Stefania Galiszczak — powtórzył, gdyż nie usłyszał odpowiedzi.

— Piszła na cmuntir — powiedziała ciotka. — Z mężom sia poźehnaty.

— Kapral Waśniowski!

— Jestem!

— Pójdziecie na cmentarz i przyprowadzicie tu natychmiast Galiszczakową — jechać trzeba.

— Rozkaz!

Pobiegl i zaraz za bramą cmentarza zauważył kobietę klęczącą przy mogile. Ręce, z rozłożonymi pod siebie łokciami, podtrzymywały twarz, która w bezruchu zanurzała się w mokrej ziemi. Cały ciężar ciała spoczywał nie na nogach, lecz na rękach i głowie, jakby chciała rozdzielić mogiłę i wpełznąć do ukochanego męża. Wiatr rozwiewał jej wcześniej posiwiałe włosy. Narzucona na plecy chusta nurzała się w kałuży po wiosennym deszczu.

— Wy jesteście Stefania Galiszczak?

Nie odpowiedziała.

— Wstańcie, mamy rozkaz odjazdu!

Milczała.

— A to uparte, ruskie nasienie! — zdenerwował się żołnierz. — Wstańcie! — To mówiąc złapał ją za ramię i pociągnął gwałtownie w tył.

Kobieta bezwładnie zwała się na plecy i oczami zaszłymi mgłą patrzyła w pogodne niebo. Żołnierz uchwycił dłoń i u nadgarstka badał tętno... Zrozumiał, że mówił do trupa.

Kapitan, odpowiedzialny za sprawność akcji, kłął, że niespodziewana śmierć opóźni wysiedlenie Łemków i być może nie dostanie obiecane wyróżnienie. Ale po spisaniu protokołu okoliczności polecił sołtysowi zająć się pogrzebem.

— No, na samochody! — krzyknął. — Co komu pisane, to go nie minie! — powiedział, jakby zrzucając winę z siebie.

Ciotka przytrzymała Piotrusia przy sobie i gryzła wargi, by nie płakać przy malcu.

Samochód tłukł się po wybojach i wzbijał tumany kurzu, który później opadał i tulił się do ziemi jak skarcony pies proszący o przebaczenie. W dali, pomiędzy pierścieniem starych lip, rysowała się cerkiew pod srebrnymi kopułami. Opodal, w maleńkiej chyzce pod ziemią mama Piotrusia rozmawiała z mężem. Zapewne było jej dobrze, gdyż nie musiała rozmawiać na odległość. Ale dlaczego Piotrusia zostawiła samego na tym świecie, pełnym zła i przemocy? Przecież on jest malutki...

Twarz krzywiła mu się do płaczu, a małe rączki drżały. Widząc to, ciotka wyjęła z torby winogrona, które dostała z UNRY i wpychając do buzi malca mówiła:

— Jicz, to dobre. Mamusi dobri pry tati, a ty musysz byty odważny.

— Jako tato, kotry boronył Polsku — dodał.

— Tak — powiedziała z trudem, odwracając głowę.

Pomyślał jeszcze, że musi być dzielny jak dziadek, który walczył za dobrego cesarza. Przygryzł winogrona i słodki sok rozlał się w ustach. Spojrzał na mijane przy drodze wierzby i ogarnął go smutek, że to wszystko widzi po raz ostatni. Pociągnął noskiem jak małe psiatko, ramionka znowu poczęły mu drgać, a w dławione gardelko jakaś niewidzialna siła wkładała pięść i próbowała rozsadzić małą buzię. Ciotka zauważyła to. Wkładając mu jedno grono za drugim, przynaglała:

— Jicz, jicz! To dobre!

Jadł. Przez moment zapomniał, że ich wywożą w nieznane, że w małej chyłce pod ziemią została jego mama przy tacie. Naciskał ząbkami słodkie owoce i z przyjemnością je zjadał. Poweselał i machając nóżkami pod ławą, unosił paluszek do ust i nieco się śliniąc, mówił:

— To dobie!

Bardzo dobre. Tak smacznych owoców nigdy nie jadł. Tata czasem ostrugał kozikiem jabłko, bywało, zjadał śliwkę dojrzałą, leżącą na ziemi. Ale gdzie im do słodkich winogron!

— Teto?

— Szto?

— A dałas kus winogron mamusi?

— Dała jem. — I ukryła twarz w wełnianej chuście.

Mijali ostatnie zabudowania. Przy opuszczonej zagrodzie przywiązany do budy szczekał pies, skomląc i zawodząc, jakby kto kijem zdzielił go przez grzbiet, że pilnował dobytku złych ludzi.

Wjechali na szeroką drogę. Nawierzchnia była gładka i starannie ubita. Góry spłaszczwały się i uciekały jakby pod horyzont. Po obydwu stronach drogi pola i pola, równe, poprzedzielane ówdzie miedzami, zasiane pszenicą i żytem. Przy drodze topole, za poboczem — rowy odwadniające, porośnięte trawą; nieco dalej, często murowane, rozrzucone w polach z dala od siebie, stały domy. A nad nimi zawieszona słońce, jakieś bledsze i nie tak jaskrawe jak w górach.

Piotruś spoglądał na ten nowy świat z przerażeniem, że niebo nie podparte górami zwali się co tylko na ziemię i zabije ich wszystkich. Wtulił się pod chustę cioci i dzwonił ząbkami, jakby go wyjęto z wody.

Sierżant uśmiechnął się do niego życzliwie i ze współczuciem.

— Zimno ci? — spytał.

I chociaż nie usłyszał odpowiedzi, ściągnął z siebie wojskowy płaszcz i otulił malca tak, że tylko główka sterczała znad fałdu zielonego sukna. Poglądził go po czuprynie i widać, wzruszając się, ucałował w policzek.

Widząc to drugi żołnierz splunął z pogardą na ziemię i mówił coś pod nosem o Rusinach, bandytach i wojnie. Dwaj inni, jadący bliżej kabiny kierowcy, ściskali automaty między kolanami i grali w karty na wytartej walizce, sprzeczali się czy na kolację będą śledzie, czy salceson.

Piotruś usnął. Było mu wygodnie i ciepło. Twarz rozjaśniła się przez sen szczęśliwy i beztroski: widział mamusię, tatę jak rąbał drwa na opał; widział jałowce, polany leśne porośnięte kustrycą, widział stada pasących się krów... A później znowu jakiś straszny sen i mały miotał się, jakby mu brakowało tchu.

Ciotka przytuliła go i gładząc rozwichrzone włosy nuciła kołysankę. Piotruś roz pogodził się. Od czasu do czasu otwierał buzię i językiem oblizywał coś bardzo słodkiego...

Małemu śniły się winogrona.